# TYGODNIK
# POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

| DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ" | DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ" |
|---|---|
| W Stanach Zjednoczonych i Canadzie ............$1.00 | W Stanach Zjednoczonych i Canadzie ............$2.00 |
| Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50 | Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50 |

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 48. *Chicago, Ills., 27 Maja, 1886 r.* Rok II.

# OPACTWO CARROW

— PRZEZ —

J. F. SMITH

Z ANGIELSKIEGO

CZĘŚĆ DRUGA:

## KWIAT ALOESU.

(Ciąg dalszy.)

Gdy Ellena wychodziła z biblioteki, wsparta na ramieniu swego narzeczonego i doktora Orine, młody Indyanin spojrzał na nią z takiem uczuciem bólu i rozpaczy, że ją litość przeniknęła, pomimo tylu cierpień, jakich przez niego doznała.

— Miranie! oby wszechmocny Bóg natchnął i skruszył twe serce, — przemówiła do niego serdecznie, — byś żałując za popełnione błędy, pozyskał jego przebaczenie, tak jak ja ci przebaczam!...

Gdy znikła jej wiotka postać, zdawało się nieszczęsnemu młodzianowi, że utracił widok światłości dziennej. Opuściły go siły, przeklinał w duchu swój los i pomyślną gwiazdę swego współzalotnika.

Pułkownik Mowbray i jego żona odeszli nie przemówiwszy słowa do niego; zbyt byli za-

jęci własnemi kłopotami, by mogli mieć jakie współczucie dla niego. Młody człowiek uśmiechnął się gorzko uważając to, ale nie w skutek rozczarowania, oddawna bowiem umiał cenić ich charakter nikczemny, równie jak ich przyjaźń najemną.

Niebawem oznajmiono mu, że dorożka mająca go odwieźć do tymczasowego więzienia stoi w pogotowiu. Wchodząc do przedsionka, spotkał Zarę, która z wyrazem najgwałtowniejszej rozpaczy rzuciła się mu do nóg.

— Przeklinaj mnie, zabij mnie! — zawołała, — to ja ciebie zgubiłam!

Miran Hafaz przeszedł koło niej nic nie mówiąc. Indyanka zakryła oblicze, aby nie widzieć jego upokorzenia i hańby.

Rektor w zastępstwie swojem zostawił w Opactwie pana Elworthy, aby w jego imieniu objął zarząd majątku, jako wykonawca testamentu. Sam zaś wrócił na plebanię w towarzystwie naszego bohatera, Elleny de Vere i pułkownika Butler.

Joe Beans, zakrystyan i konstabl odprowadzili Mirana do więzienia, z postanowieniem pilnowania go aż do rana.

Przybywszy na plebanię, Ellena została z serdeczną radością powitana od mistress Jarmy, Zuzanny i całego domu. Mimo utrudzenia, chciała koniecznie pójść do pokoju Marcina by go odwiedzić. Serce jej przepełnione było wdzięcznością ku Bogu, który ją tak cudownie obronił, i ku staremu masztalerzowi, którego niebo za narzędzie wybrało dla jej ocalenia. Przyćmione oczy starca odzyskały w części swój blask dawniejszy, kiedy siostrzenica jego ukochanego pana do ust swych bladych przycisnęła jego pomarszczoną rękę, dziękując mu, że ją wybawił z pod opieki niecnego wuja, przez wskazanie miejsca, gdzie był ukryty testament.

— Dałeś prawdziwy dowód przywiązania dla żyjących i wierności dla zmarłego, — rzekła do niego.

— O, jeszcze nie! — szepnął staruszek z uśmiechem pełnym znaczenia. — Cokolwiek dopiero uczyniłem, ale nie wszystko... Master Harry! — dodał, zwracając się do naszego bohatera, przybyłego razem z Elleną i stojącego przy łóżku, — jak to mówiłeś, że się nazywa ta zagraniczna roślina koląca, która sto lat żyje nim zakwitnie, a potem ginie natychmiast?

— Nazywa się aloes.

— Powiedziałem panu, żem i ja podobny do tej rośliny.

— Prawda, przypominam to sobie.

— Otóż wydaję dopiero pączek, który nie rozkwitł jeszcze, ale wkrótce się rozwinie. Czuję to... wiem pewnie. Dożyję aby ujrzeć syna mego zmarłego pana, biorącego w posiadanie zamek i włości swych naddziadów... potem stary Marcin wyjawi powierzoną sobie tajemnicę i umrze spokojnie, jak okwitły krzew aloesu.

— Jaką tajemnicę?

— Gdy nadejdzie pora stosowna i zjawi się prawy dziedzic, natenczas powiem. Ale aż do owej chwili, Marcin potrafi milczeć jak cichy grób.

Niepodobna było wydobyć co więcej z niego; obrócił się do ściany, aby usnąć, mówiąc, że przyjdzie czas, kiedy będzie potrzebował całej swej pamięci i siły.

Elleny sen był także tej nocy słodki i spokojny, pełen błogich marzeń lepszej przyszłości. Poczciwa Zuzia do samego rana czuwała przy niej.

— Wiesz co Filipie, — rzekł dzierżawca Ashton do swego brata, gdy pożegnawszy życzeniem dobrej nocy zacnego rektora, szli razem na folwark, — ja ciebie wcale pojąć nie mogę.

Khan z uśmiechem spojrzał na niego.

— Nie masz w sobie uczucia wrodzonej miłości, — ciągnął dalej poczciwy rolnik. — Widząc, jak sobie szlachetnie postąpił Harry, chciałbym go był przycisnąć do serca, a ty, ty ojciec jego, stałeś zdaleka, zimny i nieporuszony jak głaz bez czucia. Jestem pewny, że się chłopak czegoś domyśla. Przyjdzie jutro do domu, będzie mnie wypytywał, a ja nie mogę i nie chcę przed nim kłamać.

— Cóż ja poradzę na to? powtarzam tylko, że jego bezpieczeństwo od tego zależy, aby nie wiedziano że to mój syn.

— Ale to już rzecz wiadoma, Filipie!

— Komu? domyślam się, żeś to powiedział twojej żonie.

— Cóż miałem czynić? — rzekł włościanin zakłopotany widocznie. — Była zaniepokojona. Zawsze najszczersze między nami panowało zaufanie, tak więc musiałem...

— Powiedziałeś jej, że ja brat twój?

— A tak, w samej rzeczy.

— Skoro się tak stało, muszę jutro rano koniecznie widzieć się z Henrykiem. Macieju! twoja niebaczna otwartość wywoła bez wątpienia rozwiązanie, które dla nas obu może się stać fatalnem!...

## XXXVIII.

Nigdy przyroda nie jest spokojniejszą, jak po gwałtownej nawalnicy. Podobnie rzecz się miała z Miranem, gdy się ujrzał w więzieniu.

— Otóż kończy się sen mojego życia! — mruczał sam do siebie. — Miłość, duma, żądza wyniesienia się nad drugich, użyteczne i zaszczytne stanowisko, słowem, wszystko co człowiek ceni wysoko, rozbiło się na morzu namiętności burzliwych!... Czy mam żałować za przeszłością?... Nie! żal pozostawiam głupcom i lękliwym, którzy się obawiają walczyć z przeznaczeniem; żal za tem co minęło bezpowrotnie, jest najnieużyteczniejszem uczuciem serca ludzkiego. Co do mnie, żelaznej jestem natury! Spojrzę oko w oko widmu śmierci, i postrachem jej gardzić będę! Zginę, ale nie w ten sposób jak sobie moi nieprzyjaciele wyobrażają. O nie! ręka oprawcy nie skala swem dotknięciem mojego ciała! Mój nienawistny rywal nie będzie mnie widzieć wstępującego na rusztowanie. Miran-Hafaz skończy w sposób godny siebie!

Postanowiwszy samobójstwem zakończyć życie, zaczął się rozglądać w około, szukając środka do uskutecznienia tego zamiaru; nie miał z sobą ani sztyletu, ani żadnej broni; ci, co go krępowali, pamiętali o odjęciu mu wszelkiego narzędzia śmierci. Nic więcej nie miał przy sobie, prócz pugilaresu napełnionego listami bankowemi, a na palcu błyszczał kosztowny pierścień, ostatni dar księżniczki indyjskiej, matki zmarłej.

Przez kilka chwil patrzył w milczeniu na jedno i drugie... Byłby chętnie oddał wszystko, dyament i pieniądze, w zamian za broń zabójczą, którаby dozwoliła uniknąć grożącego mu losu.

Przez ten czas Joe Beans, zakrystyan, Red-Ralf i konstabl czuwali w izbie niższego piętra, tuż pod kaźnią Indyanina.

Słyszycie, jak niecierpliwie przechadza się po starej podłodze? Widząc się zamkniętym między czterema ścianami, musi doznawać niepokoju jak tygrys w klatce! Ach! stokroć mi lepiej, że jestem biednym Joem Beans, ale mającym czyste sumienie, niż gdybym był na miejscu bogatego Mirana Hafaz!...

— Wierzę, — odparł stary grabarz, — zwłaszcza w obec tak smutnych widoków na przyszłość: więzienie, proces, a w końcu śmierć!

— Czy sądzicie, że go powieszą? — zapytał Ralf.

— To więcej jak pewne, — odrzekł konstabl; — słyszałem jak pułkownik Butler i pan Elworthy mówili, że jego sprawa zły obrót weźmie!

W tem zapukano silnie do drzwi. Joe Beans odchylił je, mimo odradzania jego towarzyszy, a litosne serce jego rozczuliło się na widok Indyanki.

— Czego sobie życzysz? — zapytał. — Wróć się do zamku, Zaro, albo idź na plebanię do miss Elleny; ma ona serce dobre, pełne miłosierdzia i...

— Nie mogłam udać się gdzieindziej, tylko tutaj; moje miejsce powinno być przy Miranie, którego w dzieciństwie karmiłam i pielęgnowałam. Mogłabym go opuścić w pomyślności i szczęściu, ale nie w złej doli!... Wiem, że moje uczucia, myśli i mowa dziwnemi się wam wydają; skóra moja jest nawet odmiennej barwy niż wasza, ale we mnie bije serce równie tkliwe, jak w waszych piersiach. Pozwólcie mi widzieć się z Miranem! Jam go zdradziła, wydając w ręce nieprzyjaciół na hańbę, może na śmierć nawet! ale ja muszę go widzieć, i nie umrę, nie uzyskawszy wprzód jego przebaczenia!

— Umrzeć! — powtórzył Joe, którego postanowienie zaczynało się wahać na ten głos rozpaczliwy, — dla czegoż umierać? miss Ellena pewnie cię nie opuści.

— Wkrótce nikogo potrzebować nie będę! — zawołała Indyanka, — o jedną rzecz tylko błagam: puśćcie mnie do mego wychowanka!

— To niemożliwe!... nie wolno, powtarzam ci!

— Nie ma podobieństwa do przywiązania jak moje!

— Ale mnie ściśle zakazano wpuszczać kogokolwiek do więzienia!...

— O ty, coś się narodził z niewiasty! — krzyknęła Zara klękając przed Joem, — zlituj się nad cierpieniem niewiasty! Wy nie pojmujecie poświęcenia, jakiem indyjska karmicielka tchnie ku dziecięciu na swojem łonie wychowanem! Ocaliłam Ellenę, wróciłam ją w objęcie tego, którego twym przyjacielem, twym paniczem nazywasz! W zamian za to niczego więcej nie żądam, tylko abyś mi pozwolił parę chwil pomówić z nieszczęśliwym, którego zaufanie zdradziłam, któremu zakrwawiłam serce!

— Chcesz się z nim widzieć i zapewne sam na sam? — odezwał się Joe, a w głosie jego zdradzało się już naradzanie z własnemi myślami, co mu uczynić wypada.

— Czy na osobności, czy w obec drugich, wszystko mi jedno, — odpowiedziała Zara, — bylem go zobaczyła!

— Dobrze, będziesz go więc widzieć, choć by się za to gniewali zakrystyan i konstabl! — odrzekł Joe stanowczo.

W tej chwilj żywszym blaskiem zajaśniały oczy Indyanki; ale w krótce przybrały dawny wyraz ponurego spokoju.

— Chodź za mną, — mówił dalej młody wieśniak, — zaprowadzę cię do Mirana!

Wbrew przestrogom swoich obu towarzyszów, dotrzymał on obietnicy. Wymogli wszelako, że dla większej ostrożności nie tylko odprowadzą Indyankę i będą przytomni jej rozmowie z więźniem, ale nadto starannie ją przetrząsą. Mamka obojętnie i z wyrazem pogardliwej dumy poddała się tym warunkom upokarzającym. Nie znaleziono jednak przy niej ani broni, ani trucizny. Red-Ralf nawet, chciwie podchwytujący wszystkie jej ruchy, nie mógł nic dostrzedz, coby w nim podejrzenie wzbudziło.

— Spodziewam się, że teraz jesteście zaspokojeni, — przerwał Joe Beans do konstabla i do starego grabarza.

— Alboż ja wiem, co o tem myśleć, — mruknął ostatni, potrząsając osiwiałą głową, — ilekroć jakie nieszczęście się gotuje, możesz być pewnym, że główną rolę kobieta w niem odgrywa. Niedarmo mówi stare przysłowie: Gdzie djabeł nie może, tam babę poszle.

Po tej dla płci pięknej nie zbyt grzecznej uwadze, zaprzestano dalszej sprzeczki i cała gromadka udała się schodami na wyższe piętro. Zaledwie konstabl drzwi otworzył, Zara wbiegła do izby więźnia i padając przed nim z rękami na piersiach skrzyżowanemi, klęczała nieruchoma jak posąg u stóp swego dawnego wychowanka.

Stróże więźnia jedynie dla tego weszli z nią do kaźni, aby nie wręczyła Indyaninowi żadnego zabójczego narzędzia, albo nie próbowała ucieczkę mu ułatwić; nie mieli zaś najmniejszej chęci słuchania ich rozmowy. Usunęli się zatem w jeden róg izby, czuwając nad nimi uważnie jak tygrysy.

— Zaro, jaki powód tej żałości? — odezwał się więzień z goryczą. — Czy przyszłaś, aby być świadkiem mojego poniżenia? ażeby donieść Ellenie i memu rywalowi, któremuś mnie zaprzedała, o rozpaczy Miran-Hafaza?...

Piastunka zerwała się z ziemi; postawa jej była w tej chwili pełna owej szlachetnej godności, której niepodobno udać.

— Czy potrzeba ci mówić, po co tu przyszłam? Chcę umrzeć razem z tobą, Miranie!

— Ze mną umrzeć?! — wykrzyknął młodzieniec, — powtórz te słowa, Zaro!... one każą mi się domyślać, że mi dostarczysz środków do oszukania mych wrogów, którzy radziby mnie wysłać na hańbiące rusztowanie!

— I ty mogłeś pomyśleć, że byłabym zdolną opuścić cię w nieszczęściu? — zawołała ayah tonem tkliwego wyrzutu. — Przetrząsano mnie, kiedy po usilnych prośbach, łzach i błaganiu skłoniłam tych przeklętych dozorców, żeby mnie wpuścili do ciebie, ale nie znaleźli przy mnie żelaza ani trucizny, a jednak... jestem uzbrojona i mogę zadać śmierć niezwłoczną, jak wąż jadowity!

To mówiąc podniosła rękę, aby lampa wisząca u sklepienia prostopadle ją oświetliła. Zaiskrzył się wzrok Indyanina, gdy pod paznogciem wielkiego palca swej piastunki dostrzegł ciemno-czerwoną plamę.

Była to *Woorara*, najgwałtowniejsza ze znanych trucizn, której skutki tak są straszliwe, że Indyanie umiejący ją przyrządzać, rzadko kiedy używają innej broni, prócz trzciny umoczonej w tej cieczy jadowitej. Fakt to powszechnie znany, że często zabijają nieprzyjaciół, drasnąwszy ich paznogciem, umoczonym w tej zabójczej truciznie. Zadana rana w mgnieniu oka śmierć sprowadza.

— Woorara? — zapytał skwapliwie.

— Tak jest.

— Zaro, przebaczam ci wszystko za ten dar ostatni, bo teraz mogę odnieść tryumf nad moim

wspólzalotnikiem, nad szyderstwem świata i nienawiścią Elleny! Krew najzacniejszego Indyanina nie może być przelaną, jak krew pospolitego złoczyńcy!

— Nie! — zawołała ayah, — nigdy!

— Nie mam nikogo w tej krainie, coby za mną płakał, prócz ciebie!

— Zapomniałeś Miranie, że umrę z tobą!

Rozmowa toczyła się w hindustańskim języku, i dla tego ani Joe, ani towarzysze jego słowa z niej zrozumieć nie mogli. Gdy Indyanka dla pokazania więźniowi trucizny, rękę podniosła do góry, Red-Ralf spytał po cichu, czy przypadkiem czarna niewiasta nie myśli djabła wywołać?

— Cicho, malcze, — rzekł Joe, — chociaż są występnymi, nie trzeba z nich szydzić!

— Ja też im nie urągam, — odrzekł figlarz, chciałbym tylko widzieć, jak Indyanina powieszą.....

— Żegnam cię więc, piękny świecie! — przemówił Miran z westchnieniem, — duch mój pragnie coprędzej się oswobodzić. Walczyłem z losem, ale żelazna ręka, rządząca światem, silniejszą była odemnie! Przegrałem bitwę, ale nie chcę ubolewać nad porażką doznaną!... Teraz, Zaro, spełnij obrzęd kapłana-ofiarnika z dawnych czasów! Ołtarz gotowy, a ofiara posłuszna... Spieszyć się nam potrzeba; dozorcy nasi zaczynają podejrzliwie na nas spoglądać. W twoich objęciach usnąłem snem pierwszym po przyjściu na świat, i po raz ostatni usnę na twojem łonie... Czegoż się lękasz?

— Przecież nie o sobie myślę?...

— Wkrótce zacznie świtać, — przemówił Joe Beans, którego długa rozmowa niepokoić zaczynała. — Czas byście się rozeszli!

Indyanka tak mściwym zmierzyła go wzrokiem, że poczciwy chłopak zadrżał mimowolnie. Potem oglądnęła się do koła, jakby szukała sposobu uniknięcia tej okropnej ostateczności, na którą się przygotowała.

— Takaż to odwaga twoja? — rzekł młody Indyanin spokojnie.

— Żegnam cię! — zawołała, obejmując go rękami za szyję, — żegnam, ale nie na długo... duch mój wkrótce za twoim uleci!

Przycisnęła Mirana do swych piersi, poczem zadrasnęła go lekko paznogciem poniżej ucha.

— Coś długo się ściskają! — rzekł rudy pastuszek.

— Odejdź! — przemówił konstabl do niewiasty.

— Jestem gotowa, ale wasz więzień umknął!

— Jakto? umknął!

— Rzeczywiście... nie żyje!

Rozwarła ramiona, a trup Mirana do nóg jej się zsunął.

— Co się stało? — zawołał Joe z przerażeniem.

— Dobrze mówiłem, że ona djabła wywoływa! — mruknął Ralf, ciągnąc go za połę odzieży.

— Ofiara z rąk się wam wymknęła! — zawołała Zara tonem rozpaczy i ironii. — Dusza jego i serce używają już swobody. Nie zbliżajcie się! Niczyja ręka, prócz mojej, niechaj nie tyka zwłok książęcych!

— Lekarza! — krzyknął konstabl, — spieszcie po lekarza!

— Albo raczej po pułkownika Butlera! — dodał stary grabarz.

— Szaleńcy! alboż kwiat oderwany od łodygi, na której wyrósł, odzyska życie? — przerwała ayah. — Miran uszedł przed waszemi prawami i waszym sądem! Nieprzyjaciele jego nie doznają radości ujrzenia w hańbie i spodleniu potomka długiego szeregu książąt! Już zastygł! zimny jak moje serce!

Przytłoczona boleścią, Indyanka usiadła na podłodze, i z czułością macierzyńską zaczęła układać członki i szaty zmarłego, którego niemowlęciem karmiła i piastowała na łonie swojem. Dumny uśmiech zdobił usta młodego człowieka, jakby ostatnia myśl jego, ostatnie uczucie było raczej zwycięztwa, niż klęski przeświadczeniem.

— Zostawmy ją w spokoju! — odezwał się Joe smutnie do towarzyszy, — ona nam uciec nie może!

Ci zaś tak byli zdjęci zdziwieniem i przestrachem w skutek tajemniczej i niepojętej śmierci Mirana, że nie ważyliby się dotknąć ręką Zary i z przerażeniem na nią spoglądali. W ich zabobonnem wyobrażeniu musiała posiadać władzę nadprzyrodzoną. Zamknęli więc starannie drzwi za nią, zostawiając ją samą z umarłym, i zeszli do dolnej izby.

## XXXIX.

Niedaremnie mówiłem, że czarna kobieta djabła wywoływała, — odezwał się znowu Red-Ralf, gdy usiedli w komnacie sklepionej, znajdującej się w niższem piętrze wieży. — Teraz tylko stary będzie wisiał! — dodał z widocznem rozczarowaniem.

Henryk i Ellena wolnym krokiem przechadzali się po ogrodzie rektora, rozmawiając o przeszłości i przyszłem szczęściu, o zmarłych i żyjących, ale najwięcej o swej wzajemnej miłości.

W tem Joe Beans zbliżył się do nich. Młodzi kochankowie zdziwili się, widząc pokorną i nieśmiałą postawę biednego chłopaka. Podobny był do psa wiernego, który przekonany, że w czemś uchybił, obawia się kary zasłużonej.

Jednoczesnym ruchem oboje podali mu rękę, ale Joe tak był zmartwiony, że nie śmiał odwzajemnić serdecznego przywitania.

— Muszę z tobą pomówić, master Harry, — odezwał się, zdejmując czapkę dla powitania panienki.

— W samą przychodzisz porę Joe, mówiliśmy właśnie o tobie i twojej wierności.

— Ah! właśnie też o tobie idzie, że byłem niewiernym; zdradziłem twoje zaufanie, master Harry!

— Ty... zdradziłeś moje zaufanie? — powtórzył młody Ashton. — Oh! to być nie może; nie dałeś się przecie namówić do wypuszczenia więźnia... Nie, nie! Byłoby to straszną obelgą dla ciebie, gdybym nawet śmiał przypuszczać coś podobnego! Twój jeniec?...

— Jest jeszcze w wieży, — dokończył młody wieśniak, mrugając ukradkiem na znak, że chce z paniczem na osobności pomówić. Odprowadziwszy Ellenę do ławeczki w pobliżu stojącej, Henryk powrócił do Joego.

— Mówże, co się stało? — rzekł spiesznie.

— Rywal twój nie żyje, master Harry!

— Umarł? Jakim sposobem?

— Jam temu winien... Konstabl, zakrystyan, Ralf i ja czuwaliśmy razem w starej baszcie; oka nie zmrużyliśmy przez noc całą!...

— Ale mów, co się stało?

— Indyanka przyszła i zaczęła rozpaczać tak żałośnie i błagać, że nie mogłem odmówić jej, by się widziała z Miranem. Och! moja to własna wina, master Harry, mnie tylko należy się za to nagana.

— Ja cię nie ganię, Joe, ale w każdym razie spodziewałem się więcej ostrożności po tobie!

— Byliśmy też ostrożni... Przetrząśliśmy tę kobietę, nim weszła do kaźni; nie miała przy sobie ani noża, ani sznurka, ani trucizny, słowem nic podejrzanego; zresztą, byliśmy obecni ich rozmowie...

— I powiadasz, że nie żyje?

— Ja sam tego pojąć nie mogę, — ciągnął Joe, — nie uderzyła go niczem, a jednak umarł! Nic widać na nim nic, prócz lekkiego zadraśnięcia poniżej ucha, i bez wątpienia musi w tem być sprawa szatańska!

Teraz przypomniał sobie nasz bohater, że Indyanie Otomaku maczają często paznogieć wielkiego palca w soku woorary, a wtedy najlżejsze zadraśnienie bywa śmiertelne. Domyślił się, że Zara, jak większa część niewiast na Wschodzie, posiadała znajomość różnych trucizn, i że zapewne użyła tego sposobu, ażeby ochronić Miran-Hafaza od śmierci haniebnej z ręki katowskiej.

— Broń Boże, abym ci miał za złe, żeś był czułym na głos ludzkości, na głos własnego serca, mój chłopcze! — rzekł, podając mu rękę do uściśnienia. — Któż mógł przewidzieś co się stanie? On umarł, niechaj z jego zgonem ginie pamięć jego zbrodni!

— I przebaczasz mi, master Harry?

— Nie mam ci nic do przebaczenia; nad brzegiem grobu ustaje wszelki gniew!

Te wyrazy zdjęły wielki ciężar z serca Joego. Nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się widzieć coś tak niepojętego, jak ten nagły zgon młodego Indyanina. W prostocie swojej gotów był przypisać to zdarzenie sztukom czarnoksięzkim.

— I rozumiesz, jak się to stało, master Harry?

— Rozumiem, mój dobry Joe.

— Na uczciwość! zdaje się, że pojmujesz wszystko i wszystko wiesz... ach, greczyzna musi być rzeczą nieocenioną!

Podobnie jak zacny dzierżawca folwarku Home-Farm i jego żona, tak i Joe Beans nauce greczyzny przypisywał umysłową wyższość na-

szego bohatera, i wszystko, co w jego postępowaniu było dla niego niezrozumiałem.

— Dobrze zrobisz, uwiadamiając doktora Orine o tem, co się stało: znajdziesz go w jego bibliotece, — rzekł po chwili Henryk do wiernego sługi, — niebawem do was przyjdę.

Wracając do miejsca, gdzie zostawił narzeczoną, poznał po jej widocznej niespokojności, że na wpół domyślała się wieści, jaką jej przynosi. Wziął ją za rękę, i patrząc na nią z tkliwością, szepnął jej do ucha:

— Gdy się modlić będziesz, Elleno, przypomnij sobie, że istnieje człowiek potrzebujący twego wstawienia się do miłosierdzia Bozkiego; a czyjeż modły lepiej mogą być wysłuchane od westchnień młodej dziewicy, którą szalone jego namiętności drogiego ojca pozbawiły?

— Miran kona? — jęknęła ledwie dosłyszanym głosem.

Kochanek milczał.

— Ach! może już nie żyje...

Henryk pocałunkiem osuszył łzy towarzyszące tym słowom.

— Niechaj mu Bóg przebaczy, jak ja mu przebaczam! — szepnęła Ellena.

Rektora bynajmniej nie zadziwiła śmierć Mirana, ani dzikie przywiązanie jego dawnej mamki. W długiem i samotnem życiu, nie samemi książkami się bawił; nauczył się on także badać tę wielką tajemnicę, która nazywa się sercem człowieka!

Zara tymczasem pozbierała różne stare tarcice z trumien i popsute ławki kościelne od lat niepamiętnych nagromadzone w komnacie obróconej teraz na więzienie. Poskładawszy wszystko razem, złożyła na wierzch ciało Mirana, podpaliła ten stos na prędce ustawiony, i usiadła obok trupa.

Kiedy pożar spostrzeżono, było już za późno; z obu ciał zostały tylko popioły.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

# DWIE MARYE.

## POWIEŚĆ Z DAWNYCH CZASÓW POLSKICH

PRZEZ

*FR. XAW TUCZYŃSKIEGO*

(Ciąg dalszy.)

Zbliżyła się obiadowa godzina. Dwanaście służebnych dziewic zaniosło Maryą do trzeciej komnaty, jak można było z urządzenia poznać, jadalnej. Stół marmurowy ze złoconemi brzegami, otaczały siedzenia adamaszkowe, strumyk przepływający tworzył tu małą kataraktę, która chłodziła upały słońca południowego.

Za chwilę wszedł Hakim, Hasan i Jerzy. Zasiedli siedzenia, dwaj pierwsi zwyczajem wschodnim wciągnęli nogi pod siebie, Jerzy zaś i Marya na sposób europejski. Basza siadł po prawej, Jerzy po lewej, a Hasan naprzeciw Maryi.

Hasan zaczął mówić:

— Nie ma w Syryi zwyczaju, aby kobiety jadły razem z mężczyznami. Jednak basza ze względu na ciebie, życzy sobie dziś razem z tobą obiadować. Jestto dowód wielkiej jego przychylności.

— Nie sprzeciwiam się bynajmniej życzeniu baszy, — rzekła Marya.

Hasan przetłumaczył, a basza mówił znów po syryjsku, poczem Hasan zwróciwszy się do Maryi rzekł:

— Basza zważając na twą boleść po stracie małżonka, dopiero po roku uważać cię będzie za swą prawą małżonkę.

Marya z wdzięcznością spojrzała na Hakima, który skłonił ku niej głową.

Rozeszli się wreszcie, przepędziwszy kilka godzin na rozmowie, w której Hakim dowiedział się o całym biegu życia Maryi. Od dnia dzisiejszego począł Hasan Maryą uczyć języka krajowego, tak, że w dwa miesiące później już Marya mogła się w tym języku bez pomocy tłómacza rozmówić. A i Jerzy robił niezgorsze postępy.

Nazajutrz Marya nie znalazła swego europejskiego odzienia, tylko długą, białą szatę, sadzoną bogato perłami, na głowę przywdziała bogaty zawój, spięty na przodzie dyamentowym guzem. Krasa jej na tym przebraniu się nic nie ucierpiała, owszem zdawało się, że była piękniejszą. Koralowe usta tem wydatniej odbijały się od białego stroju.

Basza, Hasan i Jerzy odwiedzali ją prawie co dzień, a dziewice zabawiały ją swym śpiewem. Dni jej tak upływały, że ani się spostrzegła; często z Jerzym rozmawiała i pytała go, czy to zawsze tak będzie, czy nie ujrzą już ojczyzny? Jerzy na to nie umiał odpowiedzieć, pomimo, że w sercu swem zawsze nadzieję ujrzenia ojczyzny żywił.

Hakim, jak się okazało, był nader czułym i dobrym człowiekiem, a jego srogość względem poddanych wypływała raczej ze systemu rządu, aniżeli ze złego serca. Byłto człowiek dowcipny, a w obcowaniu nader miły. Marya wnet poznała jego dobre strony.

* * *

W pół roku po śmierci Adama powiła Marya córkę.

* * *

Basza pozwolił Maryi zatrzymać dziecię u siebie, ale zakazał surowo powiadać dziecięciu o jego pochodzeniu; miało się wychować w religii i zwyczajach mahometańskich. Przyrzekła Marya, ale jednak potajemnie kazała Jerzemu ochrzcić dziecię. Jerzy to uczynił i dał dziecięciu imię matki: Marya, basza zaś kazał je nazwać: Palmira.

I tak potomek Adama Kostrzewskiego rósł zdala od ojczyzny między wyznańcami koranu. Dziecię ochrzcone, katolickich rodziców, modliło się sposobem mahometańskim, matka modliła się za nie do Boga swego.

Po upłynionym roku Marya została małżonką baszy Hakima.

## ROZDZIAŁ V.

Tydzień już mijał, jak Skirmunt i inni, którzy byli schronieni w jaskiniach, wyjść się nie odważyli z obawy przed gadem i najeźdzcami. Wreszcie Skirmunt i Jan wyszli na ziemię. Ruiny zamku smutny przedstawiały widok; mnóztwo trupów cuchnących walało się po dziedzińcu, a za ukazaniem się dwóch żyjących, zerwała się chmura kruków i wron, wydając krzyk trwogi, że im biesiadę przerwano. Gadziny wiły się jeszcze i syczały.

Skirmunt smutnie pokiwał głową, a Jan rzewnie płakał.

— Tak więc całkiem zniszczono ten piękny zamek, — mówił Skirmunt, — gdzie tyle lat panowała wesołość i uciecha. Boże! za cóż skarałeś tak poczciwego człowieka, który był najgorliwszym chrześcianinem i nalepszym z ludzi!

Obaj płakali.

Wrócili napowrót do jaskini i opowiedzieli przytomnym o skutku wyprawy.

— Może to kara Bozka, — rzekł ktoś.

— Może tylko doświadczenie, — powtórzył inny.

— Któż wyroki Boga odgadnie? — dodał jeszcze inny.

— Masz prawdę, — rzekł stary Zdzisław, — nikt wyroków Boga odgadnąć nie może. Grzesznik czasem na ziemi używa szczęścia, a poczciwy w nieszczęściu. Ale za to po śmierci policzy Bóg poczciwemu jego nieszczęścia za pokutę, a grzesznik tam dopiero zapłatę odbierze. O! ile ja razy Bogu za me nieszczęścia dziękuję!... bo one może mą duszę obmyją.

— Tyle razy obiecaliście, Zdzisławie opowiedzieć wasze życie, — rzekł Jan, — opowiedzcież mi je raz przecie.

— Wasze życie musiało być bardzo burzliwe, — mówił uratowany młodzian, — moglibyśmy dużo z waszego opowiadania się nauczyć.

Starzec się namyślał.

— Tak, masz prawdę, młodzieńcze, — rzekł nareszcie — masz prawdę, moje życie było bardzo burzliwe, dowodem tego moja przedwczesna starość. Ale wielkiej wy rzeczy odemnie wymagacie! Rana moja zagoiła się z czasem, mamże ją znowu odświeżać?

Przytomni milczeli.

— Opowiedz Zdzisławie, — rzekł Skirmunt, — może to będzie nauką dla młodzieży.

Zdzisław się zamyślił. Siedział chwilę nieruchomy, potem machnął ręką i rzekł:

— Niech i tak będzie! Pan Bóg mi i tak już życia długiego nie udzieli, opowiem wam więc. Siądźcie tu ot koło mnie i słuchajcie.

Wszyscy posiadali, a Zdzisław, zagrzawszy pierś napojem, zaczął swą powieść.

### Opowiadanie starego Zdzisława.

Na samym zgięciu Wisły, gdzie jeszcze jedna poboczna rzeka wody swe wlewa, mieszkała moja rodzina, składająca się z trzech braci. Najstarszy był imieniem Junosz, drugi Zbigniew, a trzeci najmłodszy Zdzisław. Tym najmłodszym ja jestem. Junosz był bardzo spokojny, oddał się rolnictwu, a co najważniejsza, został chrześcianinem. Zbigniew i ja powstawaliśmy przeciwko tej wierze, i stale opieraliśmy się jej przyjęciu. Tak żyliśmy razem pod jednym dachem. Rodzice nas odumarli, Junosz objął dziedzictwo, a myśmy mu pomagali. Milsza nam jednak była zabawka szabelką i łukiem, aniżeli grzebanie w roli; dla tego więcej przestawałem ze Zbigniewem, aniżeli z Junoszem. Chodziliśmy razem na polowanie, a w potrzebie i na Prusaków, którzy z nami zaraz graniczyli.

Pewnego razu polując, zapuściliśmy się bardzo głęboko w puszczę. Już było późno, wracać niepodobna, więc postanowiliśmy przenocować w lesie. Zbigniew zapalił ogień, a ja tymczasem począłem szałas budować. W tem słyszę szelest zbliżających się kroków. Wkrótce ukazał się mężczyzna dość w leciech podeszły, ale jeszcze nie stary. Przywitał nas w imię Jezusa, myśmy mu w imię Perkuna odpowiedzieli. Gdyśmy mu powiedzieli, żeśmy się zabłąkali, że, gdy już zapóźno do domu wracać, chcemy przenocować w lesie i rana oczekiwać, nieznajomy zaprosił nas do swej chaty, czegośmy mu nie odmówili, przyjmując wezwanie z wdzięcznością.

Niejaki czas prowadził nas lasem, nareszcie stanęliśmy na obszernej równinie, otoczonej wyniosłemi dębami, a w środku stała porządna chatka. Oknem biła łuna palącego się łuczywa. Dwa czarne kundle oznajmiły nasze przybycie, a zaraz ukazała się we drzwiach postać niewieścia, ale ujrzawszy nas, znikła napowrót.

Nieznajomy gospodarz wprowadził nas do mieszkania.

— Jagusiu! — zawołał w progu — przyprowadzam ci dwóch gości... — a zwracając się do nas, dodał — nie trafiliście do bogatego, ale czem chata bogata, tem rada.

Jagusia, żona gospodarza, przywitała nas podaniem ręki, otarła ławę, dając tem znak, abyśmy usiedli, poczem zakrzątała się około wieczerzy, a gospodarz siadł z nami i rozpoczęliśmy rozmowę. Opowiadał nam rozmaite dzieje, powody, które go skłoniły do schronienia się przed ludźmi. Nazywał się Jaxa. Czas upływał nam przy tem opowiadaniu bardzo przyjemnie.

Wreszcie Zbigniew spytał:

— I tak sami tu tylko mieszkacie z waszą żoną?

Na to Jaxa:

— A cóż mnie i rodzinie mojej więcej potrzeba? Żyjemy weseli i zdrowi, Pan Bóg nam błogosławi, za co niech Mu będą dzięki, a niczego więcej nam się nie zachciewa.

— Z rodziną, mówicie, tu mieszkacie? — rzekłem ja. — O jakiej rodzinie mówicie, czyż jeszcze prócz żony macie kogo?

— A mam, — odrzekł Jaxa, — Pan Bóg mnie dziecięciem pobłogosławił — tu zwracając się do żony rzekł: — Jagusiu, gdzież Halka? czemuż tu nie przyjdzie?

— Zatrudniona, ale zaraz ją zawołam, — rzekła żona Jaxy i wybiegła bocznemi drzwiami.

Z ciekawością oczekiwaliśmy przybycia Halki. Jaxa z uśmiechem na nas spoglądał. Wkrótce weszła Jagusia i wprowadziła za rękę Halkę.

Było to dziewczę siedmnaście lat wieku... ale jakie dziewczę! Zarumieniona po uszy, podała nam rękę, najprzód Zbigniewowi, potem mnie. Schwyciłem tę małą, drobną rączkę i już więcej nie chciałbym był jej puścić. Serce we mnie gwałtownie zabiło... Ach, już temu dawno, a jednak gdy sobie wspomnę ową chwilę...

Jagusia podała wieczerzą — usiedliśmy — Halka między mną a matką. Nie wiem już sam, czy jadłem co, czy nie, ale to tylko wiem, że oczy moje nic więcej nie widziały, jak Halkę... myślałem tylko o Halce.

Po wieczerzy udaliśmy się na spoczynek. Przez całą noc oka ani zmrużyć nie mogłem, wciąż mi tylko piękna Halina stała przed oczyma... Ależ bo też to piękne było dziewczę! Twarzyczka bielutka z rumieńcem czyniła ją podobną do rozkwitającego kwiatka. Włos czarny, spleciony w warkocz, sięgał aż do pasa; tak samo czarne oczki wyglądały z pod czarnych brwi, jak dwa rozżarzone węgielki. Usteczka czerwoniutkie odkrywały przy uśmiechu dwa rzędy białych, jak śnieg ząbków. Drobne rączęta, odkryte po łokcie, tak białe, przejrzyste, że można było nieomal dojrzeć krew w żyłach płynącą.

Widzicie, jak kochałem tę istotę, kiedy po tylu latach jeszcze tak żywy jej obraz mam w pamięci. Pamięć moja stara i dziurawa wiele już zgubiła, wiele rzeczy zapomniałem, lecz nic obrazu Haliny z mej pamięci wymazać nie zdoła.

Noc spędziłem w marzeniach.

Nazajutrz, gdyśmy wstali, niebo było pokryte grubemi chmurami. Niedługo głuchy, daleki grzmot dał znać o nadchodzącej burzy.

Chcieliśmy odchodzić. Lecz Jaxa odezwał się do nas:

— Jeśli chatą moją nie gardzicie, to zostańcie, aż burza przeminie.

Zostaliśmy chętnie, zwłaszcza ja, gdyż mnie czarne oko Halki bardziej wstrzymywało, aniżeli burza. Halka rano jeszcze mi się piękniejszą wydawała, aniżeli wczoraj wieczorem.

Tymczasem burza zaczęła się srożyć na dobre. Wicher był tak gwałtowny, że naginał wierzchołki stuletnich dębów do ziemi; deszcz lał z nieba strumieniami, a pioruny przeszywały powietrze. Nagle błyskawica nas olśniła... huk się rozległ okropny i piorun zgruchotał dąb stojący przed domem.

Jaxa, Jagusia i Halka, wszyscy troje rzucili się na kolana i zaczęli się modlić. Na ścianie wisiał krucyfiks z wizerunkiem Chrystusa: tam w tę stronę skierowali swe oczy i ukrzyżowanego Zbawiciela błagali o pomoc.

Jaxa mówił głośno, a niewiasty za nim powtarzały:

— Boże! Stwórco nieba i ziemi, błagamy Cię w imię Syna Twego, a Zbawiciela naszego Jezusa Chrystusa, odwróć od nas wszelkie nieszczęście. Racz nas wysłuchać o Panie! Spojrzyj na ukorzone sługi Twoje. Odwróć od nas tę straszliwą burzę, zeszlij nam Anioła, któryby nas przed gniewem Twym zasłonił. Zakaż burzy niszczyć i srożyć się nad Twojem stworzeniem. Prosimy Cię, o Boże, w imię Tego, który za nas na krzyżu krew najświętszą przelał. Amen.

O cudo! właśnie na słowo „Amen" wpadł promień słońca oknem do izby i oświecił klęczące osoby. Burza ustała.

A myśmy byli poganie...

O! w tej chwili uczuliśmy w sobie wielkość, potęgę i świętość wiary chrześciańskiej! Poznaliśmy nicość naszych bogów. Serca nasze ukorzyły się przed Bogiem chrześciańskim. Byłbym pewno padł na kolana i modlił się po chrześciańsku... ale nie umiałem.

Jaxa podniósł się i spojrzał na nas: Zbigniew i ja staliśmy ze założonemi rękoma, lubo w duszy wtórowaliśmy ich modlitwie. Słowa ich jeszcze nam brzmiały w uszach. Halka spojrzała także na nas. O! w tym wzroku poznałem litość i ubolewanie nad nami poganami.

Opuściliśmy Jaxę.

Nie pamiętam, czy ze Zbigniewem przez całą drogę co mówiłem, ale zdaje mi się, że obaj milczeliśmy. Ani nie wiedząc jak, stanęliśmy przed domem.

Junosz był już od dawna żonatym, a miał małe, przeszło trzyletnie chłopię. Owóż ów chłopczyk wybiegł nam naprzeciw i szczebiocąc wprowadził nas do izby. Uściskałem czule Wojtusia, a on musiał mi zaraz pacierz chrześciański powiedzieć. O! jak zazdrościłem chłopcu, że tak wzniosłe modlitwy na pamięć mówić

umie!... jak szczerze i ja uczyłem się pacierza na pamięć!...

W kilka dni potem wsiadłem na mego bułanego i hajże ku zagrodzie Jaxy. Cwałem pędziłem, przyjeżdżam... koń Zbigniewa stał uwiązany u płota. Zbigniew ujrzawszy mnie, mocnym spłonął rumieńcem, a krwią nabiegłe oko zwróciwszy do mnie, zapytał:

— Czy mnie szukałeś, Zdzisławie?

Odpowiedziałem „tak", ale widzi Bóg, że przez te kilka dni ani o bracie nie pomyślałem. Jaxa powitał mnie serdecznie, a lica Halki żywszym spłonęły rumieńcem; nawet mi się zdawało, że cokolwiek radości malowało się na jej twarzyczce. Podała mi rączkę, którą serdecznie uścisnąłem.

Zbigniew powstał i pożegnał się; mnie nie wypadało pozostawać dłużej, więc się także pożegnałem.

Jedziemy w milczeniu.

Nagle Zbigniew osadził konia i krzyknął:

— Po coś tam był, Zdzisławie?

— Po coś tam był, Zbigniewie? — odrzekłem z mej strony.

— Czy ty masz prawo śledzić me kroki, młokosie? — wrzasnął zapieniony.

Zadrżałem, krew we mnie zakipiała, ale hamując się, rzekłem prawie spokojnie:

— I ty nie masz prawa żądać rachunku z mego postępowania.

Zbigniew się zatrząsł.

— Młokosie! jeśli cię tam jeszcze raz złowię, to...

Nie domówił, ale mogłem się domyślić, co chciał powiedzieć. Nic na to nie odrzekłem, tylko wzdrygnąłem ramionami na znak, że się pogróżek jego nie obawiam.

Na drugi dzień już mój bułany pędził do zagrody Jaxowej. Halka właśnie była w ogródku, gdzie kwiatki polewała. Zeskoczyłem z konia i pobiegłem do niej.

— Halko! — zakrzyknąłem, — poganin klęka u nóg twoich i błaga o zbawienie duszy i ciała.

— Tyś poganin! — rzekła i zasłoniła ręką twarzyczkę. — O! czemuż ty jeszcze nie jesteś chrześcianinem? Czemuż promień wiary świętej nie przedarł się jeszcze do twej duszy!

— Halko! ty mnie zbawisz, ty mnie oświecisz, ty mnie nauczysz wierzyć w twego Boga, nie prawdaż? wszakże mnie nie odrzucisz?

Halka schwyciła mnie za ręce i pociągnęła za sobą do izby. Powstał zdziwiony Jaxa, a Halka zaprowadziła mnie do krucyfiksu zawieszonego na ścianie, uklękła i ja padłem przy niej na kolana.

Halka mówiła głośno:

— Boże! przyprowadzam ci jedną duszę, którą promień wiary jeszcze nie oświecił. Jezu Chryste, Panie i Zbawicielu nasz, zlej na niego błogosławieństwo Twoje, przyjmij go do grona wybranych, niechaj i dlań po skończonej drodze żywota będzie udziałem...

— Piekło!! — krzyknął głos od proga.

Zadrżeliśmy mimowolnie na ten głos złowrogi, — był to Zbigniew.

Zerwałem się, ale Zbigniewa już nie było.

Tu starzec odpoczął i zbierał myśli rozpierzchnione. Chwila ta musiała być bardzo okropna, kiedy po tylu latach tak gorzką mu była.

Po chwili mówił Zdzisław dalej:

Na drugi dzień wszedł do mnie Zbigniew. Przez ramię miał przewieszony łuk. Przystąpił do mnie i rzekł:

— Zdzisławie weźmij łuk i chodź ze mną.

— Gdzie? zapytałem.

— Nie pytaj się o nic, tylko uczyń jak mówię.

Wziąłem łuk i wyszedłem. W milczeniu doszliśmy do lasu. Zbigniew stanął, napiął łuk, ja to samo.

— Kochasz Halkę? — krzyknął, i zwrócił łuk ku mym piersiom.

— Kocham! — krzyknąłem, i również ostrze strzały skierowałem w niego.

Ręka mu opadła, spuścił łuk na ziemię.

— Zdzisławie! — rzecze — i ja kocham Halkę; dwóch nas za wielu. Patrz! oto leci para gołębi. Strzelajmy do nich. Kto trafi gołębicę, ten ma prawo do Halki, trafimy obaj gołębicę, wtenczas jeden z nas zginie.

— Dobrze! — krzyknąłem.

— Strzelajmy! — zawołał Zbigniew.

Właśnie turkawki nadleciały, strzały świsnęły: jeden ptak upadł przeszyty dwiema strzałami...

Gołębica!

Pojęliśmy nasze położenie, w milczeniu stawamy naprzeciw siebie i napinamy łuki.

— Strzelaj! — krzyknąłem, — tyś starszy.

Strzała furknęła, przebiegła mi mimo uszu i utkwiła za mną w drzewie.

Zbigniew rzucił łuk na ziemię, skrzyżował ręce na piersiach i stanął nieruchomy, jak głaz, oczekując śmiertelnego razu. Przebiegła mi wtedy dzika myśl pozbycia się brata na zawsze... zmierzyłem .. ręka mi jednak zadrżała. Podniosłem łuk w górę, strzeliłem, a kruk przeszyty strzałą legł u stóp Zbigniewa.

Rzuciłem łuk na ziemię. Zbigniew stał przez chwilę jak wryty, błędne oko utopił we mnie... nagle skoczył, schwycił mnie za szyję, a łzy strumieniami puściły mu się z oczu.

— Zdzisławie! tyś lepszy odemnie, — wołał rozczulony, ściskając mnie, — o tak, tyś lepszy, tyś godniejszy Halki. Ja ci ustępuję i pójdę w świat daleko, aby ci szczęścia nie zakłócać.

— O! nie, bracie mój! nigdzie nie pójdziesz — zawołałem do łez rozczulony; — zostań z nami, będziemy wszyscy szczęśliwi.

— Nie mogę, — odrzekł smutnie, — moje serce nazbyt złośliwe, mogłoby kiedy znów zemstą zapłonąć. Wolę raczej iść w puszczę, tam z daleka od was żyć sam jeden, aniżelibym miał waszemu szczęściu stać na zawadzie.

— Ja cię nie puszczę, — wołałem, — twoje serce jest bardzo dobre.

— Wszak przed chwilą godziłem na twe życie.

— Lecz tego już nie uczynisz.

Zbigniew wstrząsnął głową.

— Daj mi pokój i puść mnie.

— Ja cię nie puszczę. Zostań ze mną razem chrześcianinem, będziemy razem szczęścia używali.

Pogodziliśmy się.

W parę tygodni później ja i brat mój Zbigniew przyjęliśmy w poblizkim kościołku chrzest święty.

Wy wszyscy byliście ochrzceni dziećmi, więc nie wiecie, jakiego uczucia taki człowiek doznaje. O! tej chwili nie zapomnę. Czułem we mnie taką samą odmianę, jak gdybym z ciężkiej powstał choroby. Czułem ciężar grzechu spadającego ze mnie. O święta wiaro! i ja tak długo nie wpuściłem cię do serca mego?...

Kiedym już był ochrzcony, oświadczyłem się wyraźnie Jaxom, prosząc o Halkę. Dziewczę mnie kochało, nie było więc żadnej trudności. W tym samym kościołku, w którym przyjęty zostałem do grona chrześcian, w tym samym kościołku połączyłem się także z Halką węzłem małżeńskim.

Zaczęło się dla mnie życie miłe, przyjemne, rozkoszne. Halka jak była urodliwą dziewką, tak też była dobrą i przywiązaną do mnie żoną. Jaxa nie chciał dziecka od siebie puścić, dał nam chatę, w której mieszkał i tak nam szczęśliwym upływały dnie i tygodnie bez najmniejszej chmurki. Zbigniew mieszkający z Junoszem odwiedzał nas nieomal co dzień, silił się przywiązaniem do mnie zetrzeć z siebie plamę bratobójstwa, które zamierzał dawniej popełnić.

Tak nam upłynęły dwa lata. Pan Bóg zaraz w pierwszym roku pobłogosławił nasze małżeństwo dwojgiem dziećmi: bliźniętami. Dzieci te, istne aniołki, były tak do siebie podobne, że trudno je było rozróżnić, tylko po znaku na twarzy. Była to czarna plamka, którą jedno z nich miało na prawym, a drugie na lewym policzku.

Były to dwa chłopczyki; dałem im imiona Wacław i Jerzy.

Pewnego razu zagłębiłem się daleko w lesie. Jakieś niemiłe uczucie dręczyło mnie, jakaś niespokojność miotała mem sercem. Nie mogłem tego sobie żadną miarą wytłumaczyć. Przypisywałem mój stan wilgotnemu powietrzu. Pomimo mego rozumowania, uczucie wzięło górę i spiesznie wracam do domu. Już jestem blizko, słyszę niby wrzawę, biegnę, tchu mi braknie... dobiegam do otwartego miejsca... Ach! że nie padłem i nie umarłem natychmiast!... Bo jakiż przedstawił mi się widok! Chatka moja gorzała, przed nią leżały dwa trupy: Jaxy i żony jego, a Zbigniew unosił Halkę w gęstwinę. Ryknąłem z wściekłości, napiąłem łuk i puściłem strzałę w tę stronę. Okrzyk zgrozy rozległ się w tej stronie... skoczyłem — lecz w tej chwili strzała Zbigniewa odebrała mi zmysły. Runąłem bezwładny, a co się dalej stało, nie wiem, bo kiedy przyszedłem do siebie, byłem w nieznajomem mi miejscu pod opieką Jarosława Różewskiego, ojca Michała.

Leżałem długi czas. Nikt mnie nie pytał, co i jak się ze mną stało, a ja też nikomu nie powiadałem. Czyż miałem sam rodzinę moją przed światem osławić?

Ile łez wylałem, ile wycierpiałem, sam Bóg to tylko wie, i Jego tylko proszę, aby moje cierpienia za pokutę policzył.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

# GAWĘDZIARZ.

## DŁUGI, SZEROKI I BYSTROOKI.

Pewien król, w podeszłym już wieku będący, miał tylko jednego syna. Razu jednego zawołał go do siebie i rzekł:

— Mój kochany Synu, wiesz zapewne, że dojrzały owoc opada, by zrobił miejsce innemu. Tak i moja głowa powoli dojrzewa i niezadługo już może słońce oświecać jej nie będzie; nim przecież umrę, radbym widział przyszłą synowę moją, a twoją małżonkę. Pojmij więc żonę, mój synu!

Królewicz rzekł: Chętniebym zastosował się do twej woli, mój ojcze, lecz nie mam narzeczonej, nie znam żadnej.

Król stary sięgnął do kieszeni, wydobył klucz złoty, a dając go synowi, rzekł:

— Udaj się na najwyższe piętro wieży, obejrzyj się tam i powiedz mi, którą byś chciał niewiastę.

Wszedłszy syn na najwyższe piętro, ujrzał w suficie drzwiczki żelazne, podobne do pokrywki; te otworzył złotym kluczem, podniósł je i wszedł przez nie do góry. Była tam obszerna komnata okrągła, mająca sufit błękitny, jak niebo w noc pogodną, a gwiazdy srebrne błyszczały na nim; podłoga była przykryta zielonym jedwabnym kobiercem. Na około muru było dwanaście wysokich okien w złotych ramach, a w każdem oknie odmalowana była kolorami tęczowemi na szkle kryształowem dziewica z koroną królewską na głowie, a w każdem oknie inna i w innej szacie, a co jedna, to piękniejsza, tak że królewicz całkiem był oślepiony. Gdy im się pełen podziwienia przypatrywał i nie wiedział, którą wybrać, poczęły się poruszać jak gdyby były żywe i patrzały na niego z uśmiechem, jak gdyby mówić chciały.

W tem spostrzegł królewicz, że jedno okno biała zasłona zakrywała; usunął przeto zasłonę, chcąc zobaczyć, coby się pod nią ukrywało. Była tam dziewica w białej szacie, srebrną przepaską spiętej, z koroną perłową na głowie; ta ze wszystkich była najpiękniejsza, lecz smutna i blada, jakby z grobu powstała. Królewicz stał długo przed tym obrazem zadumany, a gdy mu się tak przypatrywał, zabolało go serce i rzekł:

— Tę chcę, a żadnej innej!

Ledwo wymówił te słowa, schyliła dziewica głowę, zarumieniła się jak róża, i w tej chwili wszystkie obrazy znikły.

Zszedłszy na dół, opowiedział ojcu, co widział i którą dziewicę sobie wybrał. Stary król się zasmucił i namyśliwszy się, rzekł:

— Źle zrobiłeś, mój synu, żeś odkrył, co było zakryte i słowem twem wielkiego się nabawiłeś niebezpieczeństwa. Dziewica ta znajduje się w mocy złego czarnoksiężnika, uwięziona w zamku żelaznym; kto tylko próbował ją ztamtąd uwolnić, nigdy już nie wracał. Lecz co się stało, odstać się nie może; dane słowo dotrzymane być musi. Idź próbować szczęścia i wracaj ocalony!

Królewicz pożegnał się z ojcem i wsiadłszy na konia, pojechał po kochankę. Jadąc przez ogromny bór stracił drogę, poczem błądząc w gęstwinie wśród skał i bagien i nie wiedząc, w którą się udać stronę, usłyszał za sobą kogoś wołającego:

— Hej, poczekajcie!

Królewicz obejrzawszy się, ujrzał człowieka wysokiego wzrostu, który go ścigał.

— Zaczekajcie i weźcie mnie z sobą, a jeśli mnie w służbę przyjmiecie, nie pożałujecie tego!

— A któż ty jesteś? — rzekł królewicz — i co umiesz?

— Nazywam się Długi i umiem się wyciągać. Czy widzicie na owej jodle wysokiej gnia-

zdo? Sięgnę wam po to gniazdo, nie włażąc na jodłę.

To rzekłszy, począł się wyciągać, a gdy ciało jego z zadziwiającą szybkością wzrosło aż do wysokości jodły, sięgnął po gniazdo i natychmiast znowu skurczywszy się, podał je królewiczowi.

— Widzę, że biegły jesteś w swej sztuce; lecz cóż mi po gniazdach, jeśli mnie z boru nie możesz wyprowadzić!

— To mała rzecz! — rzekł Długi, i znowu wyciągnąwszy, zrobił się trzy razy wyższym od najwyższej sosny w boru, obejrzał się i rzekł:

— Na tamtej stronie jest droga najbliższa, z boru wiodąca.

Potem znowu się skurczył, wziął konia za cugle i szedł naprzód. Królewicz ani się spostrzegł, jak bór za sobą zostawili. Przed nimi szeroka roztaczała się płaszczyzna, a za nią wysokie szare wznosiły się opoki, jak mury wielkiego miasta i góry drzewami obrosłe.

— Tam panie, idzie mój towarzysz — rzekł Długi, wskazując w bok równiny — tego również powinniście wziąść do siebie; przydałby nam się wielce.

— Przywołaj go, bym widział do czego jest zdatny.

— Cokolwiek za daleko jest, panie, — rzekł Długi, — ledwo by mnie dosłyszał, i długoby trwało, nimby przyszedł, bo ma wiele do dźwigania. Wolę iść po niego. I znowu się Długi wyciągnął, tak że głową aż w obłoki sięgał, i uczyniwszy trzy kroki, uchwycił towarzysza za ramię i postawił go przed królewiczem. Był to chłop tęgi i miał brzuch jak kłodę.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

# KLARA
— CZYLI —
# ZWYCIEZTWO CNOTY.

## POWIEŚĆ.

NAPISAŁ

X. KANONIK SZMID.

(Ciąg dalszy.)

— Boże pobłogosław cię, rzekł starzec, ściskając jej rękę. Słuchaj, dobre dziecię, mówił dalej, twoje modły zostały wysłuchane u tronu wszechmocnego Boga. Bo rycerz Artur niby cudem Bożym odmienił się naraz zupełnie. Nie pojmuję tego, jak się to stało, lecz że tak jest, wiem z pewnością. Dziś bowiem po odprawionej tu mszy św. miałem się udać do ciebie, by ci z polecenia rycerza Artura szczęśliwą przynieść wiadomość. Pan mój, którego gdy był dziecięciem piastowałem często na ręku, i który mnie kochał bardzo dawniej, mało na mnie uważał w ostatnich czasach i

unikał mnie widocznie, bom ja śmiało ganił jego postępki i dobre mu dawałem nauki. Dzisiaj rano kazał mnie jeszcze przededniem przywołać do siebie.

— Stary przyjacielu, rzekł do mnie przyjaźnie, mam do ciebie prośbę. Tobie ją powierzam, bo mam największe do ciebie zaufanie. Spodziewam się, że mi przebaczysz obojętność, z jaką dotąd obchodziłem się z tobą, i prośbę moją wypełnisz. Wiem przytem, iż to z trudnością uczynisz. Idź więc do Klary, tej dziewczyny, którą tu sprowadziliśmy niedawno, i powiedz jej, iż żałuję mego obejścia się z nią, że ją przepraszam, i że już mnie się lękać nie potrzebuje. Że przeciwnie będę się starał nagrodzić cierpienia, które jej sprawiłem i postaram się o jej szczęście. Powiedz jej także, iż szacunek mój dla niej przewyższa jeszcze mą miłość. Że ją pod twoją opiekę oddałem. Twoja córka niechaj jej usługuje. Ani Gertruda, ani ja, nie przestąpimy więcej progu jej pokoju. Ten pokój, ta kaplica, ten ogród, ten cały zamek, niegdyś ulubiona siedziba mej matki, stoją na jej rozkazy. Rozwesel ją, dodaj jej odwagi i niechaj jej na niczem nie zbywa.

— Tak mówił rycerz. Potem dał rozkaz swemu koniuszemu, który jest moim przyjacielem i który dotąd był także w niełasce u niego, by spiesznie osiodłał konie i towarzyszył mu w podróż, w którą się wybiera. Teraz już obydwaj odjechali. Niegodziwą Gertrudę odprawił także; pakuje ona już swe rzeczy, z czego w całym zamku wielka panuje uciecha.

Gdy starzec tych słów domawiał, weszła jego córka Anusia, dzieweczka miła i skromna, na której twarzyczce dobroć i niewinność swe piętno wyryła. Ona to zdobiła kwieciem obraz Matki Bozkiej, i przed każdem jej świętem zaświecała dziesięć świec w świeczniku, jak to nieboszczka matka Artura przed śmiercią była rozporządziła.

Klara i Anusia przywitały się serdecznie. Ich wspólne nabożeństwo dla Maryi, skojarzyło prędko ich serca szczerą przyjaźnią. Klara dziękowała na klęczkach Panu Bogu i Matce Zbawiciela za cudowne przemienienie się rycerza, a stary odźwierny i jego córka poszli za jej przykładem. Z niedoznaną jeszcze nigdy rzewnością słuchała Klara dzisiaj mszy św. w kaplicy, a dzień ten świąteczny stał się dla niej radosną uroczystością.

Obiedwie dziewczęta żyły teraz w pokoju Klary tak szczęśliwe, swobodne i wesołe, jak anioły w niebie. Pracowały razem, jadły przy jednym stole i bawiły się w miłym ogródku. Klara odzyskała swą dawną wesołość, i tylko tęsknota za matką i niepewność co się z nią dzieje, przejmowała jej serce. Ale odźwierny powtarzał:

— Bądź spokojną, rycerz postara się o to, że odzyskasz wkrótce twą matkę.

## ROZDZIAŁ V.

### Uszczęśliwiona matka.

Rycerz Artur pojechał w towarzystwie swego koniuszego przez góry, lasy, doliny i parowy prosto do mieszkania pani Kunegundy. Biedna niewiasta doznawała od czasu utraty swej córki najokropniejszej w życiu boleści. Gdy w ów wieczór Klara nie powróciła do domu, biedna matka pobiegła na bielnik po nad rzeczkę i dowiadywała się, gdzie mogła, czy kto nie widział w którą szła stronę. Prosiła każdego, kogo spotkała, by jej pomógł szukać córki. Mężczyzni z zapalonemi pochodniami przeszukiwali całą dolinę, las i zarośla, nie znalazłszy żadnego jej śladu. Żałowano powszechnie Klary. Cała okolica była w smutku pogrążona po stracie tej pięknej, pobożnej dziewicy. Matka przepędzała dnie całe na szukaniu jej. Pełno strasznych pogłosek dochodziło jej uszu. Jedni mówili, iż wpadła w rzekę i bystre pochłonęły ją wały, inni mówili, iż może umyślnie rzuciła się w rzekę, bo od niejakiego czasu zesmutniała i zmizerniała widocznie. Inni znowu utrzymywali, że może znów wilki ją rozdarły. Niektórzy domyślali się, iż tą piękną dziewczynę porwał może rycerz jaki, bo to wówczas nie było nic tak niezwykłego, zwłaszcza, iż rębacz jeden widział w boru dwóch uzbrojonych ludzi z spuszczonemi przyłbicami, którzy nic dobrego zamierzać się nie zdawali. Matka sama miała podejrzenie na Rudolfa, lecz ten nie oddalił się nigdy z domu, a na wiadomość o zniknieniu Klary zmartwił się tak gwałtownie, iż w ciężką wpadł chorobę. Przeszukał z swymi strzelcami bór cały kilkanaście razy, lecz wszystko napróżno! Odwiedzał często matkę Klary i płakał z nią razem. Jego szczery żal ze straty Klary, zniewolił mu całkiem serce jej matki. W jego towarzystwie znajdowała ona największą pociechę, bo on dzielił naj-

szczerzej jej smutek, a jego także nikt lepiej, jak matka Klary pocieszać nie mógł.

Biedna niewiasta siedziała w swej samotnej komnacie, wilgocąc nić, którą przędła, gorących łez strumieniem, gdy rycerz Artur wszedł z trzaskiem do izby.

— Szczęść ci Boże, dobra niewiasto, rzekł, przychodzę pocieszyć cię w twem strapieniu.

Na jej prośbę usiadł naprzeciw niej przy stoliku, gdzie niegdyś Klara siedziała. Przypatrywał się w milczeniu przez kilka chwil biednej matce. Gdy ją po raz ostatni widział był w kościele, wyglądała ona jeszcze dość młodo i świeżo. Teraz oczy jej były zapadłe, zczerwienione od płaczu, twarz zwiędła, chuda i blada, cała jej postać boleścią znękana. Rycerza dotknęło to do żywego, iż był przyczyną takiego strapienia tej czcigodnej, szanownej matce.

— O dzięki Bogu, pomyślał, podczas gdy Kunegunda swą boleść opisywała, dzięki Bogu, iż się to strapienie da nagrodzić, te łzy osuszyć jeszcze; dzięki Bogu, iż mnie zachował od uwiedzenia Klary. Biada temu, kto matce zgotuje stratę, której naprawić nie zdoła. Potem rzekł do Kunegundy:

— Uspokój się, dobra niewiasto. Przynoszę ci dobrą wiadomość. Klara żyje i jest czystą na ciele i duszy, nieskażoną dziewicą jak była, gdy ją z twego objęcia wydarto. Człowiek, który ją gwałtownie pokochał, porwał i więził w swym zamku wśród gęstych lasów, nie szczędził żadnych sposobów, by ją uwieść. Pochlebstwa, podarunki, bogate stroje, muzyka, przyrzeczenia, groźby, wszystko to służyło mu, by ją do swych życzeń nakłonić, lecz ona przetrzymała tę ciężką próbę. Niewinność i pobożność tej szlachetnej dziewicy, odniosła zwycięztwo nad wszelkiemi sztukami zwodziciela.

— Człowiek ten, który tak podle, tak niegodziwie postąpił sobie z wami i z córką waszą, mówił dalej rycerz, prosi was o przebaczenie i daje wam swe rycerskie słowo, które mu zawsze świętem było, że Klara odrzuciła wszelkie jego pochlebstwa. Jest przytem gotów uczynić dla was wszystko, czego tylko zażądacie od niego. A teraz pytam was się w imieniu tego człowieka: czy możecie mu przebaczyć?

— O z całego serca, zawołała matka z płaczem. Sprawił on mi wprawdzie okropną boleść, i był blizkim wyrządzić mi krzywdę, któraby mnie do grobu była wpędziła. Jednakże kiedy potrafił pokonać swą namiętność, godzien jest, bym mu wróciła mój szacunek. Kto siebie samego pokonać umie, mężniejszym jest, niż gdyby Tatarom i Turkom stawiał czoło, lub z całym walczył światem.

Rycerz podał Kunegundzie rękę ze łzą w oku i rzekł:

— Więc z sercem pełnem skruchy i wstydu wyznaję wam, iż tym człowiekiem ja jestem. Lecz nieprawdaż? dodał, spostrzegłszy jej przerażenie, nie zmienicie danego mi słowa? przebaczycie mi? wszak przychodzę przebłagać was, i upadłbym chętnie na kolana, aby osiągnąć wasze przebaczenie.

Kunegunda ucieszona, iż odzyskała swą córkę, rzekła uprzejmie:

— O panie rycerzu, nie potrzebujecie się uniżać tak przedemną, biedną kobietą.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## TANIE LECZENIE DOMOWE ROZMAITYCH CHORÓB.

(Ciąg dalszy.)

Trędownik ziele, znajduje się po ciemnych miejscach przy płotach, rośnie wysoko, liście ma ząbkowate i kwiatki czerwone, korzeń nie mały i gruszkowaty, który służy na twarde puchliny i gruczoły na szyi.

Tysiącznik, zwany też Smakowem zielem, rośnie na górzystych łąkach, kwiatki ma czerwone i po kilka w kupie, te moczone w okowicie, czynią gorzką i zdrową wódkę.

Trojanek, jest ziółko nizkie, z błękitnemi kwiateczkami, i zaraz po zginionym śniegu gęsto w ciemnych wilgotnych lasach widzieć się daje, którego każdy listek na troje wyrzynany, z ostremi końcami. Liście czyszczą krew, żołądek i pęcherz. Płókanie z nich jest na gardło bardzo skuteczne.

Trzcina pospolita, rosnąca w błotach, korzeń jej służy na wywichnienie członków i na parchy po głowie.